

Rola blogosfery w polskiej rzeczywistości medialnej

2 stycznia 2009

Co jak co, ale ostatnią rzeczą, jaką można powiedzieć o polskich mediach jest to, że są wolne. Oczywiście, słyszymy zewsząd, że są wolne. Przekonują nas o tym pracujący w nich dziennikarze i publicyści (zwłaszcza prezenterzy mają wiele na temat wolności słowa do powiedzenia, co jest już typową polską groteską albo i makarabeską intelektualną – czymś takim, jak wypowiedzi „młodych i obiecujących aktorów” o filozofii życia), a z jeszcze większą emfazą zapewniają nas o tym przeróżni znawcy środków przekazu, z reguły nie tylko wspierający mainstream formalno-prawnie, ale i osobiście w nim występujący. Nie muszę dodawać, że są też głosy odrębne, choć – można ze spokojem rzec – „giną one w tłoku”.

Specyfiką oligopolu polskiego rynku medialnego jest jego niemal całkowita petryfikacja przez instytucje (i związane z nimi grupy interesu), które wyrosły na historycznym porozumieniu „opozycji demokratycznej” z komunistami w latach 1988/1989. Ten „kontekst dziejów” jest istotny z tego powodu, że wyznaczył on priorytety propagandowe i biznesowe oraz „zakres możliwości” działania w mediosferze – zakres taki, że swoją reprezentację ma tzw. socjaldemokracja, czyli czerwone wilki w owczej skórze oraz „opozycja demokratyczna” ustalająca już od 20 lat to, jak ma być portretowana współczesność oraz jak ma być dekonstruowana historia Polski. Ta dekonstrukcja polega na tym przykładowo, że o wiele ważniejszy jest np. marzec 1968 r. aniżeli antysowieckie akcje zbrojne polskiego podziemia po zakończeniu II wojny światowej, a generalnie polega na tym, że peerel, jaki był taki był, ale był, zaś komuniści może źli byli (i to raczej za stalinizmu, potem niekoniecznie), lecz potem się do demokratyzacji państwa włączyli.

Nie mam zamiaru jednak wchodzić tu w kompleksową i zarazem drobiazgową analizę oligopolu medialnego w Polsce, bo wszyscy go znamy jak własną kieszeń, odkąd dokonano w 1989 r. tzw. likwidacji monopolu medialnego czerwonych, który nazywał się szumnie, jak to zwykle u komunistów bywało „Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza”, czyli pokazano nie tylko „kto rządzi w mediach”, ale i kto ma przez długie lata rządzić. Na pewno jakiegoś poważnego wyłomu w mainstreamie dokonały media katolickie z Radiem Maryja na czele, jednakże nie dostarczyły dostatecznie nowoczesnej formuły przekazu, by zwyczajnie „wyprzeć” dominujące po „historycznym porozumieniu” trendy w mediach głównego nurtu (publicznych i komercyjnych[1]). Poza tym nie dysponowały tak gigantycznymi wpływami z reklam oraz tak wyraźnym i silnym wsparciem politycznym, jak mainstream. Wystarczy wspomnieć pierwsze lata istnienia „Gazety Wyborczej”, której czytanie należało niemal do „obowiązków obywatelskich”; dodatkowo zresztą takim obligującym do lektury (a zarazem bałamucącym czytelnika) elementem był (wycofany potem po awanturach z Wałęsą) charakterystyczny znaczek „Solidarności” na pierwszej stronie tejże gazety.

Ciekawa na tym tle jest (rosnąca, nie ma co kryć) rola blogosfery, która pojawiła się jako, by tak rzec, trzecia siła lub III obieg. Jeżeli głównonurtowe środki przekazu uznamy za I obieg (całkowicie niemal sterowany przez środowiska związane z „historycznym kompromisem”), media katolickie i – jak to określają specjaliści mainstreamowe – „niszowe pisemka prawicowe” jako II obieg, tj. coś w rodzaju „podziemia” (porównajmy od strony graficznej i komercyjnej choćby „niedzielę” z „Newsweekiem” czy „Przekrojem”), to blogosfera stworzyła III obieg. Zupełnie niezależnie od tych dwóch sił medialnych znalazła odbiorców, ale ponieważ wielu przedstawicieli blogosfery deklarowało swoją katolickość i antykomunizm, natychmiast stała się ona solą w oku specjalistów od sterowania mainstreamem i przedstawicieli samego mainstreamu. Powód był prosty: III siła zaczęła zagrażać I-ej.

Czy Dawid może zagrozić Goliatowi? Wiemy, że tak, wystarczy tylko, by znalazł jego słaby punkt. Jeśli mamy pełną świadomość tego, że oligopol medialny wytwarza pozory wolności słowa (oficjalne zniesienie urzędu cenzorskiego, możliwość publikowania treści skandalizujących, erotycznych itp.), to jego najslabszym punktem jest prawdziwość przekazu. Blogerzy uderzyli w to miejsce z precyzją cyberzegarmistrza – nic dziwnego więc, że mainstream zwarł szeregi, by coś z tym niepokojącym zjawiskiem, jakim jest blogosfera, zrobić.

Podjęmowano się przeróżnych działań. Po pierwsze zaczęto tworzyć kontrolowane blogosfery, w których umożliwiano publikowanie i promowanie niezależnych komentatorów czy publicystów. Błyskawicznie się okazało, że chodzi o podporządkowanie tych ostatnich „wyższemu celom”, a więc poddanie presji mainstreamu. Jednocześnie środowiska dziennikarskie zaczęły wytwarzać własne blogosfery, tzn. sami ludzie mediów zaczęli się przebierać za blogerów i puszczać do publiczności oko, iż tak naprawdę, to oni wszyscy są cholernie niezależni, tylko na co dzień muszą pisać nieco jak „pani matka” nakazuje. Widząc, że blogosfera nie tylko się rozrasta, ale zyskuje rangę medium opiniotwórczego, zaś audytorium blogerów jest o wiele razy większe niż „szanowanych dziennikarzy”, sternicy świadomości społecznej wpadli na sprytny pomysł, by w takim razie „wynagradzać” jakimiś prezentami co popularniejszych blogerów i w ten sposób sprowokować ich nie tylko, by uznali, że jakieś mainstreamowe jury ma prawo do oceniania blogosfery, ale i by sami blogerzy przynajmniej raz na rok przyklękali na jedno kolano, przyznając, że tak naprawdę, to oni tylko po dziennikarzach sprzątają. Wielokrotnie zresztą taka optyka w patrzeniu na blogosferę się pojawiała – blogerzy to ludzie ze składu makulatury, a więc tacy, co grzebią się już w dobrze czytanych materiałach i robią sobie jakieś okazjonalne wycinki z prasy, kwitując to swoimi refleksjami. Innymi słowy podkreślano, że działalność blogosfery ma charakter wybitnie wtórny wobec epatującego świeżością informacji i przekazu,

mainstreamu.

Nawiasem mówiąc, zakładający dziennikarskie blogosfery ludzie mediów nie dostrzegali chyba komizmu wytwarzanej przez siebie sytuacji, ponieważ udawali niezależność w sytuacji, w której o niezależności mowy być nie może. Owocowało to rozdarcie zresztą tekstami, które z powodzeniem mogły się ukazywać w macierzystych tytułach czy stacjach i niewiele się różniły od tego, co na co dzień owi dziennikarze wypisywali. Poza tym tendencja, by „po godzinach” dziennikarze nadal komentowali to, o czym sami już się nagadali w wielu miejscach, świadczyła o wyjątkowej megalomanii owego środowiska.

Gdy jednak blogerzy wykazywali się coraz większą siłą przebicia i niezależnością, mainstream zaczął manifestować coraz mniej skrywaną agresję. Z pomocą zrazu przyszli mu pseudoblogerzy, którzy, pech chciał, zawsze mieli na swoich „blogach” dokładnie to samo zdanie, co „GW”, „Trybuna” czy „Polityka”, a którzy brylowali we flekowaniu niezależnych publicystów (sprawa zwalczania ‘kataryny’ jest tu dostatecznie wyrazista). Z czasem okazało się, że praktyki pseudoblogerów znajdują dość nikły oddźwięk społeczny, czyli że za pomocą „pospolitego ruszenia” nie da się pacyfikować niezależnych publicystów. Podjęto więc działania doprowadzające do marginalizacji rozmaitych blogerów, łącznie z „wyrzucaniem” ich z miejsc, w których publikowali. Przypominano w ten sposób – jeszcze nie tak dawno witany z otwartymi ramionami – blogerom, skąd wyrastają im nogi.

Weszliśmy zatem w fazę, kiedy mainstream chce sobie całkowicie podporządkować blogosferę albo też doprowadzić do jej wyautowania, gdyż tylko w ten sposób może on bronić swoich interesów. Inicjatywy blogerskie, zmierzające do konsolidowania sił przez „autowanych” blogerów, zostały przyjęte przez mainstream z zaskakującą wprost wrogością. Inicjatywa stworzenia Miasta Pana Cogito, a więc nadania polskiej kulturze nowej jakości, przez to, że ta pierwsza nie dysponowała „błogosławieństwem mainstreamu” i „zezwoeniem na

powstanie” – tak samo.

Największym problemem dla mainstreamu jest najwyraźniej to, że jego ludzie nie są w stanie przyjąć do wiadomości tego, że nie zamykają od góry hierarchii społecznej. W „Polsce Ludowej”, czyli sowieckim tworze z okresu powojennego, zawód dziennikarza (obok zawodu „twórcy kultury socjalistycznej”) został wyniesiony do rangi inżyniera dusz i najwyraźniej po „historycznym przełomie”, ten mit, że ludzie mediów stanowią kastę stojącą ponad wszystkimi obywatelami, nadal jest podtrzymywany. Dziennikarze więc nie tylko nie chcą słyszeć o tym, że ktoś inny może wpływać na opinię publiczną, choćby poprzez demaskowanie manipulacji medialnych w mainstreamie – ale i o tym, że ktoś inny może lepiej pisać i zyskiwać wielu odbiorców bez pośrednictwa maszyny, którą posiada do promocji dziennikarzy mainstream. To strzelanie z armat do wróbli, czym się zajmuje mainstream wobec blogosfery, ma jednak pełne uzasadnienie. Blogosfera staje się siłą, której nie udało się ani skomercjalizować, ani spetryfikować.

W Stanach Zjednoczonych blogerzy weszli na stałe do świata mediów, dokonując istotnych przewartościowań w podejściu do sposobu relacjonowania wydarzeń. Zauważmy jednak, że w USA, kraju, w którym właściwie można głosić i publikować wszystko, blogerzy dokonywali wyłomu jedynie w sferze informowania (w innych sferach to nie było potrzebne). Słynna clintonowska „afera rozporkowa” czy też publikowanie „zakazanych przez Pentagon” zdjęć z trumnami amerykańskich żołnierzy poległych w wojnie irackiej, to były kwestie „łamania” określonych blokad informacyjnych[2], zaś – co też warto dodać – po ich złamaniu, dochodziło do wielkiego szumu medialnego (a nawet debat politycznych) wokół tychże spraw (tzn. zarówno na temat samych wydarzeń, jak i kontrowersji wokół niepublikowania określonych materiałów).

Nasza sytuacja jest zupełnie inna. O ile kwestia swobody dostępu do informowania jest także czymś wymagającym gruntownej debaty i reformy (co jednak wiąże się z

oligopolizacją rynku medialnego, a więc niejako instytucjonalnym petryfikowaniem sfery informacji), o tyle kwestia swobody wygłaszania poglądów i liderowania w obszarze opinii staje się wyjątkowo paląca. Można podejrzewać, że mainstream szuka rozwiązań, by jakoś definitywnie wypchnąć III obieg poza nawias. Czy taki zabieg się uda? Wiele zależy od tego, jakie postawy zajmą sami blogerzy blogerzy na ile będą zdeterminowani w stawianiu oporu.

Autor: Free Your Mind

Źródło: [Niezależny Serwis Informacyjny](#)

PRZYPISY

[1] Szczerze mówiąc, różnica między nimi nie jest zbyt wielka, jeśli chodzi o ilość permanentnej głupoty na antenie.

[2] W tym pierwszym wypadku to właściwie informacja miała się pojawić w mainstreamie, lecz nie była jeszcze w pełni zweryfikowana.